

TY
GO
NIK

POŚWIECONY SPRAWOM
PAŃSTWA I NARODU

KONIECZNOŚĆ WYRAŻNEGO PROGRAMU

PO UTWORZENIU się rządu marszałka Piłsudskiego „Ster” pisał o potrzebie ogłoszenia programu rządowego. Niestety program ten nie został wygłoszony w sejmie, jak to jest w zwyczaju w państwach parlamentarnych, ani też nie podano go do wiadomości społeczeństwa w inny sposób.

Według naszego zdania stało się źle, i im dłużej rząd będzie utrzymywać społeczeństwo w nieświadomości dokąd dąży, tem gorzej. Społeczeństwo bowiem chce wiedzieć, dokąd je prowadzi. Prawda, że bywają momenty, kiedy wystarczy samo hasło, którem to hasłem bywa czasem jeden człowiek, aby pociągnąć za sobą wielki odłam społeczeństwa, a u reszty wywołać nastrój oczekiwania.

Tak było przed dwoma miesiącami, kiedy na czele rządu stanął marszałek Piłsudski.

Samo hasło jednak nie może wystarczyć na długo. Zbyt realne są sprawy, które kieruje rząd, zbyt dotyczą one także materialnej strony życia, aby społeczeństwo mogło długo być prowadzone za rękę z przepaską nieświadomości na oczach.

Niema tak wielkiego autorytetu, któryby mógł zastąpić społeczeństwu jasno wytkniętą drogę. Musiałby chyba rząd iść od trymfu do tryumfu w każdej dziedzinie, musiałby wywołać jakąś mistyczną wiarę w pewność powodzenia każdej przedsięwziętej przezeń akcji, aby społeczeństwo jak zahypnotyzowane szło za nim, nie dając posłuchu żadnej krytyce, żadnemu pesymizmowi.

Niestety, tak w życiu bywa, że wszystkie drogi, a więc i drogi, jakimi kroczy rząd, nie są wysłane samymi różami. Szczególnie odnosić się to musi do naszego państwa, które bynajmniej i dziś nie jest i nieprędko będzie w sytuacji, pozwalającej na spokojny rozwój życia państwowego. Praca naszego rządu odbywa się w ciężkiej walce o byt wśród związanych z nią powodzeń, ale i niepowodzeń.

Zarówno nasze stosunki wewnętrzne, jak i zewnętrzne są ciężkie. To też i rola każdego rządu w Polsce dziś jest bardzo niełatwa.

Do każdego nowego rządu z tej czy z innej strony społeczeństwa przywiązane są większe, czy mniejsze nadzieje. Im tych nadziei więcej, tem bardziej grozi po pewnym czasie zniechęcenie i rozczarowanie szerokich kół. Ponieważ zaś nie wyobrażamy sobie takiego rządu, któryby na wszystkich polach mógł osiągnąć tylko powodzenia, przeto każdemu rządowi, bez

względu na to jak wybitne i popularne osobistości stoją na jego czele, muszą grozić nastroje rozczarowania.

Nie poddając analizie okresów rządzenia poszczególnych gabinetów, pozwolimy sobie tu przytoczyć tylko nazwiska szefów: Paderewski, Skulski, Grabski, Witos, Ponikowski, Śliwiński, Nowak, Sikorski, Skrzyński, Bartel. Proszę się zastanowić, jak nieliczni z nich zdołali odejść, pozostawiając po sobie w szerokiej opinii pamięć powodzenia, choćby względnego. A wszak byli wśród tego szeregu i ludzie, którzy przychodzili w tryumfie.

Do człowieka, obejmującego stanowisko szefa gabinetu, opinia odnosi się zawsze z ogromnem zaciekawieniem i, według mego zdania, lepiej jest dla premiera, jeżeli nie spodziewa się odeń odrazu zbyt wiele. Wtedy każde powodzenie gabinetu tem mocniej stawia go w opinii. Przeciwnie, premier, którego przybycie opinia wita z wielkimi nadziejami, ma zawsze rolę trudniejszą, bo po wielkich nadziejach łatwiej przychodzi rozczarowanie.

Marszałek Piłsudski, obejmując ster gabinetu, niewątpliwie doskonale zdawał sobie sprawę, że na tem stanowisku raczej może utracić część swej niezwyklej popularności, niż ją powiększyć. Każdy przyzna, a marszałek Piłsudski dobrze sam wie, że właśnie od niego na każdym stanowisku oczekują nierównie więcej, niż od kogokolwiek innego. Że zaś premier, odpowiadając za cały gabinet, nie może wszystkich we wszystkim zadowolić, nie będąc czarodziejem, który usuwa wszystkie niedomagania i sprowadza raj na ziemię, przeto obejmując osobicie kierownictwo gabinetu i chcąc zrobić wiele dla państwa, marszałek Piłsudski z góry decydował się uронić co nieco ze swej legendarnej popularności.

I oto tembardziej, według mego zdania, błędem rządu było, że nie wystąpiono odrazu z programem i błędem jest, że w dalszym ciągu społeczeństwo o pełnym, całkowitym, szerokim i dalekim programie rządu nie wie.

Właśnie, żeby ze względu na osobę premiera nie snuto fantastycznych iluzji, należało wyłożyć odrazu cały pozytywny program działania.

Zdaje mi się, iż nie mylę się twierdząc, że już dziś w wielu kołach po ekstazie nadziei nadzwyczajnych, polskim zwyczajem, następuje reakcja powątpiewania w sukcesy gabinetu.

A jest to niedobrze, sytuacja nasza państwowa bynajmniej nie jest taka, abyśmy bezkarnie

przeżyć mogli upadek gabinetu Piłsudskiego wśród niepowodzeń i przy rozezarowaniu społeczeństwa. Zbyt wiele liczone w społeczeństwie, że stawiając na tę kartę idzie się ku wygranej, a także zbyt duże przekonanie mają zagranicą o talentach i energii Piłsudskiego, aby upadek tego autorytetu nie odbił się bardzo niekorzystnie wogóle na opinii świata o nas i o naszych zdolnościach państwowych.

Gdybym należał do grona ludzi, do których marszałek Piłsudski ma zaufanie, najgoręcej doradzałbym mu, aby przy pierwszej sposobności rząd wystąpił ze swym pełnym programem, i jestem przekonany, że o ile tylko program ten byłby jasny, wyraźny, stanowczy, a przytem realny, trzeźwy, wzmocniłoby to bardzo gabinet w szerokiej opinii, która dziś w wielu dziedzinach nie jest zorientowana.

Już wystąpienie marszałka Piłsudskiego w sejmowej komisji spraw wojskowych wywołało na ogół wrażenie korzystne, tembardziej powinno to zachęcać rząd do rzucenia w społeczeństwo pełnego programu, zarówno w zakresie polityki wewnętrznej, jak i zagranicznej. Wystąpienia poszczególnych ministrów, nawet z obszernem przedstawieniem programu danego resortu, nie mogą zastąpić pełnego exposé rządu między innymi także dlatego, że indywidualność premiera przysłania innych ministrów i że opinia tylko jego słowom nada pełną wagę programu rządowego.

Mówiliśmy wyżej, że sytuacja naszego państwa i ze względu na stosunki zagraniczne i ze względu na stosunki wewnętrzne nie przedstawia się dziś pomyślnie. Tak jest, niestety.

Ostatnie narady genewskie doskonale ilustru-

ją nasze trudności na terenie polityki zagranicznej.

Nasz sąsiad zachodni nawet nie stara się zachowywać pozorów sąsiedzkiej lojalności w stosunku do nas. Z sąsiadem wschodnim nie zdołaliśmy dotychczas ułożyć trwałego współżycia sąsiedzkiego, któreby także sprzyjało rozwojowi naszych stosunków handlowych tak potrzebnych, bądźmy szczerzy, i dla nich.

Mała Litwa prowadzi politykę taką, jakby za cel swego istnienia uważała jątrzenie przeciw Polsce.

Do tego dołączyć trzeba także i tarcia wewnętrzne.

W takim położeniu należałoby dążyć do konsolidowania się społeczeństwa. Tymczasem tego nie widać. Przeciwnie, wybory do Kasy Chorych w Warszawie i wybory komunalne na Śląsku dały rezultaty zupełnie niepokojące.

Gdyby chodziło o scharakteryzowanie stanu, w jakim znajduje się obecnie społeczeństwo polskie pod względem organizacji politycznej, możnaby powiedzieć, że jesteśmy w okresie powszechnego fermentu.

Fermentują dotychczasowe partie, powstają nowe hasła: monarchji, faszyzmu, widać próby tworzenia nowych organizacji, czy jednak społeczeństwo wyjdzie z okresu fermentowania wzmocnione, zdrowsze, odrodzone, lepiej zorganizowane, — dziś jeszcze powiedzieć trudno.

W takiej sytuacji jasny program rządowy, i to program głęboki, obliczony na dalszą metę, jest nie tylko potrzebny; jest on koniecznością państwową. Tego ze względu na dobro państwa oczekiwać mamy prawo, i to leży także w interesie rządu.

ANTONI PONIKOWSKI

SZACHOWNICA PARTYJNA

W WYDANEJ PRZED rokiem, z benedyktyńską drobiazgowością opracowanej monografii o stronnictwach i związkach politycznych w Polsce, p. Alicja Bełcikowska naliczyła u nas 57 organizacji politycznych, łącznie z partjami mniejszości narodowych. Jeśli od tej cyfry odejmiemy 11 partij żydowskich, 12 — ukraińskich, 6 — białoruskich i 6 — niemieckich, pozostanie jeszcze pokaźna liczba 22 organizacji politycznych polskich, w czem 13 — reprezentowanych w Sejmie, 9 zaś niereprezentowanych. Od tego czasu liczba jednych i drugich znacznie się powiększyła. Słusznie więc podniosły się narzekania na zbyt wielkie rozproszkowanie polityczne społeczeństwa. Nie pociesza nas fakt, że pod tym względem mniejszości narodowe idą w zawody z Polakami. Należy zastanowić się nad przyczynami tego zjawiska.

Powszechnie przypisywane jest ono obowiazującej ordynacji wyborczej, a mianowicie systemowi przedstawicielstwa proporcjonalnego, który ma zachęcać do rozdrabniania się partyj. Przypatrzmy się temu twierdzeniu bliżej.

Przy wyborach do Sejnu zgłoszono w całym państwie 27 list; w żadnym jednak okręgu wszystkie one nie stawały. Maksymalna ilość list, konkurujących w tym samym okręgu, nie przekroczyła 15 (Białystok). Nie jest to mało, ale jakżeż daleko od cyfry 57 organizacji politycznych, istniejących w Polsce! Jeśli zaś policzymy tylko listy poważne, t. j. takie, które otrzymały przedstawicielstwo w parlamencie, to było ich ogółem 14, w czem 9 polskich i 5 mniejszościowych. Z tego utworzyło się pierwotnie w Sejmie 16 klubów, w czem 10 polskich i 6 innych. Ale wkrótce rozpoczął się proces rozpadania się frakcyj sejm-

mowych. „Piast“ miał dwie secesje („Jedność Ludowa“ i „Związek chłopski“), „Wyzwolenie“ wyłoniło z siebie cztery nowe grupy: N. P. Ch., część Stronnictwa Chłopskiego, Klub Pracy i Włościańsko - Monarchistyczną organizację posła Ćwiakowskiego; N. P. R. podzieliła się na prawicę i lewicę, rozpadły się też kluby Ukraiński i Białoruski. W rezultacie zamiast pierwotnych 16, mamy teraz 23 jednostki organizacyjne w Sejmie.

Z powyższego możemy wyprowadzić następującą regułę: istniejące w kraju w wielkiej ilości partje objawiają przy wyborach tendencję do blokowania się, wytwarzając znacznie mniejszą ilość list; dopiero w parlamencie następuje rozluźnienie bloków i powstawanie nowych klubów przez dzielenie się dawnych. Innymi słowy: największe zespoleenie partyjne ma miejsce podczas wyborów. Czy stąd można wyciągnąć narzucający się wniosek, że system proporcjonalny nie tylko nie przyczynia się do rozdrobnienia stronnictw, lecz właśnie przeciwdziała mu?

Konkluzja taka byłaby, zdaje się, przedwczesna. Nie wystarcza bowiem stwierdzenie tendencji unifikacyjnych, występujących podczas wyborów i będących skutkiem uświadomienia sobie korzyści, jakie przy naszym systemie wyborczym osiągają listy, skupiające wielkie ilości głosów (przykład osiemki i Szesnastki). Należy jeszcze zdać sobie sprawę z późniejszej ewolucji partyjnej, odbywającej się w samym parlamencie, a mającej kierunek odśrodkowy. Wskutek czego tak często powstają rozłamy w klubach poselskich?

Odpowiedź na to może być tylko jedna. Regulaminy naszych frakcyj sejmowych są zbyt sztywne, wymagają bezwzględnej karności, narzucają wszystkim członkom jednomyślność, łamią bezapelacyjnie indywidualność. Każdy obserwator naszego życia parlamentarnego wie, jak rzadko posłom pozostawia się wolną rękę w głosowaniach; każdy łatwo zauważy, że na trybunie nigdy nie ukazuje się w Sejmie poseł, który w danej kwestji ma coś nowego, własnego do powiedzenia, lecz zawsze oficjalny przedstawiciel tego czy innego klubu, przynoszący przeciętną opinię swej grupy. Stąd tak mało słyszy się u nas wielkich, natchnionych siłą przekonania mów, a tak wiele suchych i banalnych deklaracji.

Otóż stosowanie przesadnej dyscypliny klubowej, niweczącej osobowość posła, jako reprezentanta całego narodu i przekształcającej Sejm w zbiorowisko partyj — powoduje ciągle rozłamy i sprzyja powstawaniu coraz to nowych grup. Z chwilą, gdy przekonanie i sumienie nie pozwala jednemu czy kilku posłom podporządkować się woli większości, gdy nie dopuszcza się ich do wyrażenia własnego poglądu, a nawet prześladuje powstrzymanie się od głosu, nie pozostaje im nic innego, jak zerwać więzy organizacyjne i własne założyć gniazdo.

I w tym punkcie znów dochodzimy do kwestji, wiążącej się z wyborami stosunkowemi. Nadmierna dyscyplina partyjna jest bezpośrednim skutkiem tego systemu wyborczego. Otrzymanie mandatu zależy nie od woli wyborców, lecz od umieszczenia na czele listy, układanej przez przewodcę czy zarząd partji. To też poseł jest w niewoli u partji; musi jej słuchać, jeśli nie chce

stracić jej łask i znaleźć się przy następnych wyborach na szarym końcu listy. Gdy choć raz jeden okaże niesubordynację, głosując według nakazu sumienia, a nie klubu, instynkt samozachowawczy pcha go do zupełnego zerwania z nim i tworzenia własnej partji. Oto w jaki sposób system głosowania na listy przyczynia się w konsekwencji do rozproszkowania partyjnego.

Przy okręgach jednomandatowych rozstrzygająca rola partyj maleje; na pierwszy plan wysuwają się indywidualności. Zrazu może parlament przedstawia się wtedy bardziej niewyraźnie, mgławicowo; lecz w prędkim czasie następuje grupowanie się samorzutne, na podstawie doboru świadomego ludzi o bliskich sobie przekonaniach. „Dzikimi“ pozostają te tylko jednostki, które rzeczywiście nie nadają się do współżycia zbiorowego. Utworzone tutaj kluby nie niwelują indywidualności, są bardziej elastyczne, pozostawiają członkom więcej swobody. Organizują one posłów, ale ich nie unicestwiają, jak w parlamentach, wybranych z list. W ten sposób powstają w narodzie wielkie obozy przekonaniowe, różniące się w kwestiach zasadniczych między sobą, wewnątrz zaś przedstawiające nie męczącą jednostajność, lecz bogactwo barw i odcieni. Nie ma tu miejsca na kapliczki, budowane poszczególnym patronom i biorące w potocznej mowie od nich nawet nazwę.

W naszych stosunkach jednak ordynacja wyborcza, oparta o proporcjonalność, nie jest jedynym czynnikiem rozdrobnienia partyjnego. Utrwaliła je ona, ale nie zrodziła. Jest ono starsze od systemu przedstawicielskiego i od samego państwa polskiego. Wiele partyj powstało jeszcze podczas rozdarcia Polski na trzy zabory, inne zrodziły się w okresie wojny. Ciążą na tem podziale i trójdzielnicowość i różnice „orientacyjne“. To też rozproszkowanie partyjne ma uzasadnienie historyczne i geograficzne, a nadto spotęgowane zostało przeciwieństwami klasowemi, ścieraniem się kultury zachodniej i wschodniej na obszarach polskich, różnicami narodowościowemi i wyznaniowemi ludności i innemi okolicznościami, komplikującemi naszą politykę wewnętrzną i zagraniczną oraz wywołującemi całą płataninę programów i postulatów w tych dziedzinach.

Przyjrzyjmy się paru przykładom takich powikłań. Konserwatyści na całym świecie są elementem najbardziej zwartym, zwłaszcza w krajach o ustroju ultra-demokratycznym, przytłaczającym ich walory jakościowe masą ilościową. U nas każda stolica prowincjonalna ma swoją partję zachowawczą: Kraków — Prawicę Narodową, Poznań — Chrz.-Nar. Stron. Rolnicze, Wilno — Organizację Zachowawczą Pracy Państwowej; gdyby sięgnąć głębiej, możnaby jeszcze we Lwowie znaleźć resztki „Podolaków“, a w Warszawie różne grupy i grupki, fluktuujące między tamtymi określonymi zespołami. I nie różnią się one tylko geograficzno-rozmieszczeniem, lecz zasadniczym stanowiskiem wobec zagadnień ustrojowych i ideowych. Jedni są centralistami, inni — federalistami; „ci“ wyznają monarchizm, tamci są mu obojętni; Poznań widzi niebezpieczeństwo na Zachodzie, Wilno wypa-

truje je od Wschodu. Tam chcieliby sprzymierzyć się z nacjonalizmem, tu — z jego zawziętymi wrogami. Jedną warstwę wszyscy reprezentują — ziemiaństwo, a tyle rozbieżności ideowych.

Weźmy inny przykład: robotników; kroczą oni w pełni rozwiniętym frontem: prawe skrzydło stanowi Ch. D., centrum — N. P. R., lewicę — P. P. S., a jeszcze na skrajnej lewicy widzimy komunistów, a na skrajnej prawicy — adherentów różnych partij reakcyjnych.

Jeszcze bogaciej przedstawiają się ludowcy. Mienia się oni wszystkimi siedmioma kolorami tęczy: N. P. Ch., Radykali ks. Okonia, „Wyzwolenie“, Stronnictwo Chłopskie, „Piast“, Katolickoludowi, wreszcie zwolennicy Z. L. N. („Zorza“, „Gazeta Świąteczna“) Organizacyj inteligentkich i mieszczańskich nie sposób nawet wymienić. Ale już z powyższego widać, że podział partyjny idzie u nas i w kierunku poziomym — według warstw społecznych i w kierunku pionowym — według przekonań politycznych. To też partje nasze nie stanowią warstw, jak w Anglii (robotnicy, stan średni, sfery tradycjonalistyczne), ani nie tworzą pasem ideowych z lewa na prawo, jak we Francji (komuniści, socjaliści, radykali różnych odcieni, progressiści, zachowawcy, rojaliści), ale przedstawiają się w postaci krątków.

Na takiej szachownicy nie zмага się biała strona z czarną; walczą tu wszystkie figury i małe pionki między sobą. Czyż można w takich warunkach ustalić jakieś racjonalne zasady gry? Wszystko się kotłuje w największym zamęcie.

Aby wyjść z tego chaosu, trzeba przedewszystkiem rozwalić kratki partyjne. Różnice poglądów w żywym narodzie muszą istnieć, ale winny

się układać albo w pionowym, albo w poziomym kierunku. Wydaje nam się, że łatwiej znieść ten pierwszy podział i utrzymać drugi, jedni bowiem socjaliści stoją na stanowisku klasowym, wszyscy inni zaś negują je. Nie przeszkadza to jednak niektórym przeciwnikom teorii walki klas tworzyć partji klasowych.

Niekonsekwencję tę czas zrozumieć i naprawić. Narodowa Partja Robotnicza doskonale mogłaby się znaleźć w łonie ogólnego stronnictwa centrowego, republikańskiego i postępowego, uwzględniającego interesy pracowników zarówno fizycznych, jak i umysłowych. Chrześcijańska Demokracja nie napotykałaby przeszkód do zespolenia się z innymi pravicowymi grupami, głoszącymi te same zasady wyznaniowości, tradycjonalizmu i patronowania możnych nieszczęśliwym i upośledzonym przez los. Siedmiobarwna tęcza ludowa mogłaby łatwo sprowadzić się do dwóch, trzech kolorów zasadniczych. W ten sposób, zamiast kilkudziesięciu — mielibyśmy zaledwie kilka, powiedzmy sześć, siedem partij, istotnie odpowiadających odmiennym poglądom i sprzecznym interesom. Do trójpartyjnego systemu angielskiego z mnogości teraźniejszej dojść od razu nie potrafimy. Ale zdobądźmy się przynajmniej na osiągalną komasację.

Nie wymaga się do tego rzeczy nadzwyczajnych. Wystarczy pozbyć się szkodliwego przywiązania do obumierających form i dawnych nazw w imię zaspokojenia żywotnych, pulsujących potrzeb społecznych, i podporządkować osobiste ambicje prowodyrów małych grup wielkim zadaniom, jakie odrodzona Rzeczpospolita ma do spełnienia dla utrwalenia swego bytu i osiągnięcia pełnego rozwoju.

W. GIEŁŻYŃSKI

KTO NAS BĘDZIE BRONIŁ?

PYTANIE TO zadawał mi uporczywie interlokutor, kreśląc niepokojący obraz naszego położenia.

— Czy pan wierzy w to, że Francja będzie nas bronić? Przecież widzi pan, co się działo w Genewie. Anglija całą parą popiera Niemców, Włosi zawierają z nimi traktat, Ameryka pożyczka im pieniędzy. Więc, panie, kto nas będzie bronił?

Istotnie, kto?

Niezmiernie trudno odpowiedzieć na to pytanie. Zastanówmy się raczej nad jego przesłankami. Jest ich dwie: pierwsza, że będziemy napać; druga, że nie damy sobie sami rady.

Kto na nas może napaść? Mogą Niemcy, mogą Rosjanie, mogą jedni i drudzy. Będziemy tu zastanawiać się nad pierwszą tylko ewentualnością, bo ta wydaje się najprawdopodobniejszą. We wszelką ocenę, kto jest naszym najsilniejszym antagonistą na terenie międzynarodowym, wkradają się momenty subiektywnego odczuwania. Być może więc, że nie wszyscy zgodzą się z poglądem, iż Polska zagrożona jest głównie ze strony Niemiec. Bądź co bądź jednak za tezę tą można przytoczyć tak wiele — znanych powsze-

chnie — danych, że oddzielne jej rozpatrzenie nie wymaga usprawiedliwienia.

Mówmy zatem tylko o Niemcach. Czy winniśmy zachowywać się tak, jak gdyby przypiekał nas już ogień rozpalających się tam zamysłów zaatakowania Polski? Pewnikiem jest, że nikt, absolutnie nikt, nie przebaczył nam tam jeszcze Górnego Śląska i Pomorza. Najbardziej nawet „przejednani“ i wyciągający rękę do porozumienia z nami — milczą, gdy chodzi o sprawę nie naruszalności granicy polsko-niemieckiej. A milczenie to nie wypływa wcale stąd, iżby promotorzy idei sąsiedzkiego pojednania się byli wprawdzie w duchu pogodzeni z faktem obecnych granic, a tylko przezornie unikali wyraźnego wypowiedzenia tej opinii, aby nie kompromitować swych usiłowań wobec własnych rozdrażnionych ziomków. I oni nawet czynią sobie tę *reservatio mentalis*, że ugodą polsko-niemiecką tak jakoś się pokieruje, iż w końcu Polacy — wciąż gnieć w orbitę niemieckiej polityki gospodarczej i robiący przy niej niezłe interesy — pozwolą sobie odkupić Śląsk i korytarz pomorski.

Pewnikiem jest następnie, że jeśli Niemcy w dalszym ciągu kroczyć będą w siedmiomilo-

wych butach po drodze wewnętrznego wzmacniania się i wyzwania z pod kontroli, nałożonej na nich przez Traktat Wersalski — to z pewnością niebawem nie będzie im zbywać na odwadze upomnienia się u nas o te ziemie, których straty nie mogą przeboleć. Fakt, że utratę tę przypieczętowały własnym podpisem na Traktacie, nie będzie ich, oczywiście, krępował. Niemcy chcą z powrotem Górnego Śląska i chcą z powrotem przesmyku pomorskiego. Ta ich zawzięta wola, nieukrywana, wcale, nie pół-urzędowa nawet, ale wprost oficjalnie wyznawana, jest wyraźnym wskaźnikiem ich przyszłej polityki wobec Polski. Nie widzieć, że Niemcy uważają swe porachunki z Polską jedynie za *odłożone*, a nie za *ukończone*, byłoby szaleństwem.

Że więc trzeba nam przygotowywać się do obrony przeciw atakowi — w tej czy w innej formie — z zachodu, to jest oczywistym aksjomatem polityki polskiej. Inna rzecz, w jakiej mierze należy niepokoić się z tego powodu. Prowadzi nas to do drugiego, wyżej postawionego pytania: ile damy sobie sami rady, a ile potrzeba nam obcej pomocy?

Najpotężniejsi tego świata nie myślą już teraz o tem, by stać tylko o własnych siłach. Nie ubliża to więc nam wcale, jeśli myśląc o konflikcie sprowokowanym przez Rzeszę, rozglądamy się odrazu za ewentualnymi sprzymierzeńcami. Jest naszym oczywistym interesem, aby atak ze strony Niemiec nie wywoływał jedynie rozgrywki we dwóch, ale by stał się wstępem do nowej wielkiej tragedii europejskiej. Prorokowanie o tem, czy i kto (ewentualnie pod jakimi warunkami) stanie u naszego boku, jest niezmiernie hazardowne. Wiadomo, że mimo istnienia od szeregu lat porozumienia z Francją i Rosją, Anglja przystąpiła do wojny po ich stronie dopiero w 10 minut po dwunastej i że armaty grzmiały już od kilkudziesięciu godzin, gdy Anglja zdeklarowała swe stanowisko i Francja mogła odetchnąć. Dlatego zamiast twierdzeń, przedstawimy tu tylko elementy wnioskowania, na których należy się opierać.

Rzecz prosta, że najważniejszym dla nas będzie oświadczenie się za nami Francji i Anglii. Co do Francji, to nie ulega wątpliwości, że zdaje ona sobie w najszerzych swych warstwach sprawę ze ścisłego powiązania całości i bezpieczeństwa Polski z jej własną całością i bezpieczeństwem. Trzeba jednak liczyć się z tem, że Francja jest — również w bardzo szerokich warstwach — zniechęcona do wysiłków wojennych; że pragnie w spokoju odbudowywać swe zdemolowane gospodarstwo; że chwilowo czuje, iż jej granicy zachodniej nie grozi i że niebezpieczeństwo nad Wisłą, zagrażające jej pośrednio, nie może oddziaływać na wyobraźnię Francuzów tak podniecająco, jak bezpośrednie niebezpieczeństwo nad Renem; że wreszcie polityka wewnętrzna Francji — rozwijająca się pod znakiem przywrócenia równowagi finansowej — do tego stopnia dominuje obecnie nad jej zachowywaniem się na terenie międzynarodowym, iż chwilowo odnosi się wrażenie, że p. Poincaré podporządkowuje

się p. Briandowi... Wstawiając więc do naszego obrachunku pomoc Francji, jako pozycję pewną, trzeba jednak liczyć się z tem, że Francja nie jest bynajmniej zdolna ani gotowa objąć roli jedynej gwarantki naszej granicy z Rzeszą.

Co do Anglii, to dwie rzeczy wydają się pewne. Pierwsza, że Anglja *dziś* bezwzględnie popiera wszystkie usiłowania Niemiec, zmierzające do odzyskania silnego stanowiska gospodarczego i politycznego, że więc tem samem przyspiesza chwilę, kiedy Niemcy poczną w sobie dość wigoru, by obrócić się przeciw polskiej „okupacji.“ Druga zaś rzecz pewna, to to, że Anglicy nie pozwolą na rozrost potęgi niemieckiej, któryby uczynił z Rzeszy takiego samego współzawodnika Anglii, jakim Niemcy byli w r. 1914-ym. Anglicy umieją wprawdzie szybko zapominać, ale *całej* wojny światowej nie zdołają przecież wykreślić ze swej pamięci. Gdzie jednak jest punkt, w którym te dwie rzeczy pewne skrzyżują się ze sobą, to znaczy kiedy Anglicy uznają, że pretensje rozprostowujących się Niemiec stają się nadmierne i czy w szczególności dopatrzą się takiej przesady w ataku Niemiec na Polskę — ktoś to zdoła przewidzieć? Z polityków angielskich z pewnością nikt tego w tej chwili nie wie, jako że nie lubią oni wybiegać przewidywaniami daleko w przyszłość. Wolno jednak przypuszczać, że Anglicy tem łatwiej uznają zamach na Polskę za dowód niedopuszczalnego odrastania pazurów niemieckich, im większą wartość stanowić będzie Polska w korzystnym układaniu się business'u w Europie. Niema powodów do przypuszczania, że Anglicy są uprzedzeni do nas, że nas zawsze będą poświęcać Niemcom. Anglicy oczekują tylko wciąż jeszcze od nas dowodu, że *jeśteśmy* *warci* tego, by *ujmować* się *za* *nam* i.

Jeśli wmyślimy się w te elementy wnioskowania, to okaże się, że pytanie „kto nas będzie bronił?“ jest postawione fałszywie. Bronić nas — w tym sensie, jak pasterz broni słabą owieczkę przed wilkiem — nie będzie nikt.

Nie może zresztą być dążeniem ambitnego państwa, aby posiadać „obroncę“. Bo w stanowisku bronionego jest zawsze coś upokarzającego. Możemy tylko chcieć zyskać w potrzebie pomoc. A ta pomoc w stosunkach międzynarodowych przychodzi tak, jak kredyt w stosunkach prywatnych, który dostaje się jednostkom, zdrowo gospodarującym i dającym porękę statecznego rozwijania się, a którego odmawia się jednostkom skądinąd może nawet sympatycznym, ale nie umiejącym zaprowadzić ładu w swem gospodarstwie. Angielskie przysłowie powiada, że nic nie przysparza tyle powodzenia, ile powodzenie. Czyli, że jeśli osiągniemy powodzenie w budowaniu mocnej organizacji państwowej, to sprawa nasza może liczyć na sukcesy w Anglii. A francuskie przysłowie mówi, że pożyczka się tylko bogatym, czyli że jeśli będziemy mieli siłę wewnętrzną, dającą nam własną wielką odporność, to i Francja łatwiej użyczy nam pomocy, bo nie będzie obawiać się zbytniego wyekspensowania się i ewentualnego zmarnowania pożyczki.

Krótko mówiąc, faktem jest, że nad przyszłością Polski zawisa coraz wyraźniej widmo konfliktu z Niemcami. Polityka nasza musi zdążać do tego, by w razie takiego konfliktu Polska nie była izolowana. Owóż konstelacja polityczna w Europie nie jest bynajmniej taka, iżby odo-

sobnienie Polski było czemś absolutnie nieuniknionem. Owszem, Polska może mieć bardzo potężnych sprzymierzeńców, byle tylko —

Ale to, jak powiada Kipling, jest już całkiem inną historią.

MIECZ. SZERER

DYMY PO SESJI GENEWSKIEJ

ZNOWUŻ GENEWA zwróciła na siebie uwagę całego świata. Znowu zagadnienia bezpieczeństwa i konstrukcji pokoju stały się najważniejszym przedmiotem dyskusji publicznych. W ciągu ostatnich tygodni byliśmy świadkami wydarzeń, które zaważyć mogą w decydujący sposób na całej przyszłości politycznej Europy. Moment ten jest tembardziej dla nas ciekawy, że wyłoniły się pewne ewentualności, które dotyczą najżywotniejszych interesów Rzeczypospolitej - Polskiej.

Likwidacja międzysojuszniczej kontroli zbrojeń niemieckich i zastąpienie jej przez bardziej pośrednie i dyskretnie działające czy też mogące działać na podstawie decyzji Rady Ligi formy nadzoru tych zbrojeń — były logiczną konsekwencją polityki, której etapami są rokowania o układ gwarancyjny, Locarno i Thoiry. Jest to niemal w stu procentach zrealizowany program angielski, którego celem było przywrócenie Niemcom dawnej roli mocarstwa europejskiego. W ten sposób Anglia realizowała zasadę równowagi, która zawsze była zasadniczym nakazem jej polityki. W rozumieniu angielskim była to zresztą jedyna forma zapewnienia pokoju Europie, pokoju ze wszech miar pożądanego dla Imperjum Brytyjskiego. Była to również jedyna forma w rozumieniu angielskim przeciwstawienia się próbom sowieckim stworzenia porozumienia państw niezadowolonych i wywołania głębokich przewrotów politycznych i społecznych w Europie.

Jeszcze nieomal w przeddzień ostatecznych decyzji genewskich pisał „Times“, że trzeba usunąć bezużyteczne formy kontroli międzysojuszniczej a zaufać wynikom wewnętrznej ewolucji, przez jaką Niemcy przejść muszą i która doprowadzić musi Niemcy do ułożenia stosunków z sąsiadami na podstawie pokojowego współżycia.

Decyzje genewskie idą po linii wytyczonej przez politykę angielską. Kontrola nad zbrojeniami niemieckimi nieomalże ustaje. Trudno przewidzieć bowiem w normalnych warunkach taką sytuację, aby Rada Ligi Narodów choćby tylko większością głosów (jest to jeden z tych wypadków, kiedy większość głosów wystarcza) powzięła decyzję, nakazującą przeprowadzenie odpowiednich poszukiwań i badań w Niemczech. Taka inicjatywa na terenie Rady przekreśliłaby musiała całą politykę Locarno i Thoiry, będąc objawem pewnej dalekoidącej nieufności do jednego ze stałych członków Rady. Nawet gdyby tego rodzaju decyzje przez Radę Ligi Narodów były powzięte, wiemy dobrze z jakimi trudnościami walczyć by musiała ko-

misja Ligi, występująca na terenie niemieckim jedynie dorywczo, aby zebrać niezbędny materiał informacyjny. Nie pomogą tutaj nic nawet dość daleko posunięte pełnomocnictwa i uprawnienia, jakie w stosunku do organów administracyjnych Rzeszy otrzymuje Komisja Ligi Narodów. Nawet gdyby materiał zebrany przez Komisję okazał się dostatecznie obciążający, trudno wyobrazić sobie, w jaki sposób byłoby ewentualnie wypracowane decyzje Rady Ligi oraz w jakiej formie byłoby stosowane sankcje w stosunku do nierozbrojonych Niemiec, skoro istnieje zasadnicza rozbieżność między stanowiskiem francuskim a angielskim co do tego, czy do ewentualnych decyzji Rady Ligi w przedmiocie stosowania sankcji potrzebna jest jednomyślność czy też większość głosów.

Komisje międzysojusznicze przestają działać z dniem pierwszego lutego. Prawda, że postanowiono Niemcom pewne warunki co do fortyfikacji wschodnich oraz co do uregulowania sprawy eksportu materiału wojennego, ale forma załatwienia tych spraw pozostała niesprecyzowana i Niemcy mają pozostawioną sobie do 1 lutego wolność inicjatywy co do zadawalniającego załatwienia tych wiszących spraw. Załatwienie trudności zostało zatem jedynie odsunięte na dalszy termin i wszystko zależy od tego, jak ukształtują się stosunki polityczne w momencie ponownego rozważania niezadowolonych spraw.

Jeśli faktyczny stan rzeczy, mimo przeobrażenia pewnych form prawnych, nie ulegnie wielkiej zmianie, wynika to przede wszystkim z tego, że Niemcy potrafiły przekształcić całkowicie swoją organizację wojskową i te nowe systemy dały, zdaje się, rezultaty bardziej niż zadawalające. Kontrola międzysojusznicza oddawna przestała mieć większe znaczenie wojskowe. Ale zarodek przyszłych komplikacji leży zupełnie gdzieindziej, leży w nieporozumieniu, wynikającym z zasadniczo odmiennego traktowania zagadnienia organizacji pokoju przez poszczególne państwa. To nieporozumienie zasadza się na rozbieżności celów, jakie wytknęła sobie dyplomacja angielska i niemiecka racja stanu. Jedna dąży do pokoju i równowagi, druga dąży do odzyskania dawnej utraconej sytuacji w świecie, uważając pokój i tak zwane pokojowe metody załatwiania sporów międzynarodowych za środek jedynie. Stąd jest rzeczą niesłychanie niebezpieczną dzielenie Europy na strefy, w których pokój przedstawia większy lub mniejszy interes dla niektórych wielkich mocarstw, stąd niebezpieczeństwo rozróżniania między Renem a Wisłą. Tego rodzaju solucje popychają Niem-

cy do ekspansji w pewnych kierunkach, co—już dziś stwierdzić możemy, grozi jaknajdalej idącymi komplikacjami międzynarodowymi. Mamy wrażenie, że sytuacja nie jest oceniana należyście poważnie nie tylko w Anglii, gdzie na czele polityki zagranicznej stoi nawskroś lojalny mąż stanu, ale nawet w naszej sojuszniczej Francji, w której posunięciach przeważają może nieraz w nazbyt dużej mierze względy polityki wewnętrznej. Tem donioślejszą w tym świetle staje się rola Polski w Lidze Narodów, która musi stać się barometrem nastrojów pokojowych zorganizowanego świata. Polska ma za bezpośrednie swoje zadanie przedstawienie na arenie międzynarodowej ścisłej łączności między wszystkimi stronami zagadnienia bezpieczeństwa i musi wykazać nadzwyczajną czujność w ostrzeganiu Europy przed wszelkimi zaku-

sami, wymierzonymi przeciw pokojowi europejskiemu. W interesie Polski leży niewątpliwie jaknajdalej idąca pacyfikacja Europy, że wspomnę mimochodem o komplikacjach, jakie wywołuje wciąż istniejące zadrażnienie w stosunkach włosko-francuskich. Za ten stan rzeczy, który nie wątpimy wcale, jest chwilowy tylko, Francja płacić musi na innych terenach koncesjami, mogącymi mieć nader doniosłe skutki dla całej jej przyszłości mocarstwowej.

Jedna tylko uwaga: Jesteśmy zwolennikami pacyfikacji Europy, ale nie za cenę jakiegokolwiek rezygnacji z tego, co zostało nam przyznane w wyniku likwidacji wojny światowej. Trzeba, aby co do tego znikło wszelkie niedomówienie.

ZYGMUNT KLIMOWCZAK

SPRAWOZDANIE PROF. KEMMERERA

PODATKI POŚREDNIE

O podatkach pośrednich stwierdził p. Young, że powinny one dawać jeden z głównych dochodów, podobnie jak to jest we Francji i innych krajach przeważnie rolniczych. Uważa za błędne mniemanie, jakoby redukcja tych podatków wychodziła na korzyść klas pracujących; powoduje ona wprawdzie zmniejszenie kosztów utrzymania, lecz równocześnie pociąga za sobą zmniejszenie płac i pensji. Jeżeliby zaś podciągnąć je na odpowiedni poziom, to wobec oparcia płac na zasadzie obliczania kosztów utrzymania, sprawa będzie obojętną. Jeszcze w r. 1923 uważał on podatki te za niskie i proponuje cały szereg podwyżek. Wskazuje na konieczność zwiększenia akcyzy od wina i piwa.

To samo mniej więcej utrzymuje prof. Kemmerer, stwierdzając konieczność zwiększenia akcyzy nie tylko od wina, piwa, lecz również od cukru, drożdży, octu, olei mineralnych, parafiny, asfaltu, koksu i węgla.

KONKLUZJE

Misja ograniczyła się do omówienia tylko tych podatków, nie poruszyła natomiast podatku spadkowego (bardzo krytykowanego przez prof. Younga), systemu opłat stemplowych, aljenacyjnych, od weksli, od sprzedaży przedmiotów zbytku etc., którym wiele trafnych spostrzeżeń poświęcił prof. Young. Jeżeli przytaczamy tak często doradcę angielskiego, to dlatego, iż chodzi o porównanie opinii dwóch zagranicznych znawców i dotarcie do tych cech naszego ustroju podatkowego, które istotnie wymagają naprawy. Nie należy zapominać, że raport p. Younga pisany był w czasie największego rozstroju gospodarczego w Polsce i zupełnego unicestwienia polskiego pieniądza. Był on niejako kompozycją; jeżeli cały szereg przepowiedni tego raportu okazał się trafny, to daje to dowód niezwyklej bystrości i przenikliwości angielskiego finansisty, który zresztą uważa swoje ujęcie w krótką i dosadną dianozę.

Raport prof. Kemmerera stanowi benedyktyń-

ską pracę, lecz naogół nie wnosi nowych elementów do spostrzeżeń p. Younga, i w rezultacie ogranicza się do projektów ustaw, co do przystosowalności których do warunków polskich w pewnej mierze sam wyraża wątpliwość. Nic też dziwnego, że mozolną analizę naszego systemu podatkowego kończy starem i dobrze nam znanem zaleceniem równowagi budżetowej, która zapewni ogólną stabilizację finansową i ekonomiczną, a z kolei podniesie kredyt kraju i w razie konieczności umożliwi podniesienie podatków na rzecz państwa. Ustrój podatkowy jest bowiem odbiciem ustroju gospodarczego, znajdującego pewien swój wyraz w budżecie państwowym. Jest on czynnikiem wtórnym i bierze z tego, co gromadzi się nasutek pracy i kapitału. Od dwóch ostatnich czynników zależy zatem poprawa podatków. Jeżeli zaś aparat podatkowy źle funkcjonuje, to głównie dlatego, że personel jest źle płatny, a źle jest płatny, ponieważ państwo, a zatem ogół płatników, nie ma czym płacić podatków.

Określając obecną sytuację, stwierdza misja, że znajdujemy się „w warunkach wyjątkowych, które aczkolwiek nie są zbyt poważne, to jednak wymagają szybkiego działania”. Rozumiejąc dokładnie tę definicję, stwierdzamy, iż szereg zaleceń prof. K. odnośnie środków osiągnięcia tymczasowej równowagi budżetowej, jak np. zarzucenie emisji pieniędzy papierowych bez pokrycia, sprężyste ściąganie zaległych podatków, wypowiedział niejedną z Ministrów Skarbu jako zadanie naczelne rządu. Również dawno stwierdziły oficjalne sfery, a ostatnio p. minister Czechowicz, że uważa zapewnienie równowagi budżetowej na dalszą metę za niezbędny warunek uzyskania pożyczki zagranicznej. Chodziłoby zatem o jak najszybsze zasad tych zrealizowanie, ku czemu zresztą jesteśmy na dobrej drodze.

Rozpatrując wydatki, które mogłyby zaważyć na budżecie, stwierdza misja katastrofalnie niskie uposażenie urzędników i wskazuje na pięć pozycji, które w sumie przekraczają $\frac{3}{4}$ naszego budżetu. Są to mianowicie: armja, wynosząca 36,5%

ogółu wydatków, oświata 16,7%, sprawy wewnętrzne 10%, renty i emerytury 7,7%, administracja skarbową 5,5%. Szukając możliwości redukcji pewnych pozycji, proponuje przeniesienie dużej części wydatków oświatowych na samorządy.

Nieporozumienie odnośnie roli samorządów zachodzi również ze strony p. Younga. Przypisują oni obaj samorządom naszym znaczenie, które związki te zdobyły w krajach anglosaskich. Tymczasem wystarczy wskazać choćby na stosunki panujące w stolicy, by urobić sobie odpowiedni pogląd na obecny stan samorządów, wykluczają-

cy z góry wszelkie odciążenie państwa pod względem wydatków.

Komisja doradców uważa wreszcie, że urzędnicy nie powinni pracować mniej niż 8 godzin dziennie i to dwurazowo (od 8 — 12 i od 1 — 5 pp.). Osiągnie się tą drogą oszczędność czasu i pracy. Konkluduje, że dochody należy oprzeć na podatkach, a nie na monopolach czy przedsiębiorstwach państwowych. Proponuje zniesienie ulgowych taryf kolejowych dla eksportu, z równoczesnym zmniejszeniem zakazów importu towarów, nie mających znaczenia towarów luksusowych.

(c. d. n.)

H. GR.

BILANS HANDLOWY W ROKU 1926

OD CZTERNASTU miesięcy posiadamy dodatkni bilans handlowy. Jest to fakt niewątpliwie mający duże znaczenie dla naszego gospodarstwa narodowego, gdyż, jak wiadomo, sumy zobowiązań i wierzytelności z tytułu obrotu towarów z zagranicą stanowią w naszym bilansie płatniczym pozycję najznaczniejszą i decydującą o charakterze tego ostatniego.

Badając wyniki handlu zagranicznego Polski za 10 pierwszych miesięcy 1926 roku, stwierdzamy, iż wartość wywozu wynosiła w tym okresie czasu 1.055.560 tys. złotych, wartość przywozu zaś 697.356 tys. zł., saldo aktywne bilansu handlowego za omawiany czasokres wyraża się cyfrą 357.984 tys. złotych. Jeśli cofniemy się rok wstecz i uprzymiśmy sobie, że wywóz w analogicznym okresie roku 1925-go przedstawiał wartość 1.028.772 tys. zł. nom., t. j. różnił się od wartości wywozu tegorocznego b. nieznacznie, przywóz zaś wyrażał się cyfrą 1.481.635 tys. zł. nom. czyli cyfrą, po uwzględnieniu nawet wszelkich fluktuacji kursu złotego, znacznie wyższą od cyfry wartości przywozu tegorocznego, to z powyższego zestawienia nie podobna nie wyciągnąć wniosku, iż aktywność naszego bilansu handlowego za czas owych czterech miesięcy pochodzi w głównej mierze z ograniczenia przywozu niemal do granic maksymalnych.

Można więc twierdzić bez zbytniej przesady, że struktura naszego bilansu handlowego za rok 1926 nie jest oparta na zdrowych podstawach, gdyż aktywne saldo tego bilansu nie stanowi wyrazu wzmocnienia ekspansji handlowej naszego gospodarstwa, a jest raczej bezpośrednim wynikiem reglamentacyjnej polityki celnej państwa, zmuszającej rynek wewnętrzny do ograniczania konsumpcji. Cokolwiek zatem możnaby powiedzieć o pomyślnych koniunkturach dla naszego wywozu, czy też zabiegach, zmierzających do jego wzmocnienia, cyfry nieubłagane stwierdzają fakt, że eksport nasz w roku bieżącym nie urosł w stosunku do roku ubiegłego, jeśli nawet weźmiemy przy zestawieniu pod uwagę różnicę, jaka zachodzi pomiędzy wartością złotego paritetowego, który stanowił jednostkę w obliczeniach tegorocznych bilansów miesięcznych, począwszy od maja, — i nominalnego.

Tembardziej efekt naszego eksportu należy uważać za niezbyt korzystny, że spadek złotego przeciętnie około 44 punktów na jednostce sta-

nowił pewnego rodzaju premję eksportową dla polskich towarów zagranicą, wzmacniając ich zdolność konkurencyjną na rynkach zagranicznych. Niewielką pociechę w tym wypadku może stanowić fakt, że nadwyżka przyływu walut z eksportu za 10 miesięcy tegorocznych pokrywa w całości niedobór bilansu handlowego za rok ubiegły, nawet go przewyższa o sumę wahającą się dokoła 89 milj. złotych, nie uwzględniając oczywiście zachodzących w tym porównawczem zestawieniu różnic w skali faktycznej wartości tych sum, w złocie, gdyż dane za rok 1925 zostały sporządzone przez Gł. Urząd Stat. w złotych nominalnych, za rok 1926 zaś od maja w złotych w złocie.

Przywóz w roku 1926, jego charakter i wielkość sumy stanowiącej jego wartość, możemy zakwalifikować śmiało jako normalny, gdyż w kształtowaniu się jego pozycji nie brały udziału czynniki natury wyjątkowej, nie istniały specjalnie wybitne koniunktury na rynku krajowym, mogące usprawiedliwić mniemanie, iż w którejkolwiek ze swych składowych był on wywołany przez potrzeby nadzwyczajne. Przeciwnie — zestawienie cyfry jego wartości z odpowiednimi cyframi lat poprzednich, wykazuje aż nadto jasno, iż pokrywał on zapotrzebowania najbardziej zasadnicze w naszym gospodarstwie, oraz że został możliwie przystosowany do aktualnych wymagań fiskusa i potrzeb gospodarstwa narodowego, w drodze nagięcia jego wysokości do istniejących wymiarów, przez restrykcyjną politykę gospodarczą trzech ostatnich gabinetów.

Nie można jednak niestety tego samego powiedzieć o wywozie. Istnieją dwa powody po temu, narzucające się do podkreślenia już w pobieżnej ocenie: kampanja wywozowa zbóż w je-siennych miesiącach r. b. i koniunktura węglowa na rynku europejskim, wytworzona przez wybuch strajku górników angielskich 1-go maja 1926 r. Co do pierwszego powodu, to trudno jest dzisiaj już dać ocenę kampanji eksportowej zbóż, w cyfrach dokładnych, jednakże z ruchu cen na zboże w kraju i dotychczasowych prowizorycznych cyfr, dotyczących jego wywozu, możemy bez obawy zaryzykować twierdzenie, że kampanja ta odbyła się już w znacznej mierze bez zachowania faktycznej proporcji do naszej zdolności zbytu, czyli że dotychczas już zagranicę wywieziono

znacznie więcej zbóż chlebowych, niż na to pozwalały warunki, wytworzone przez względnie słaby ich urodzaj.

W kołach zainteresowanych handlem zbożowym mówi się zupełnie otwarcie o tem, że dotychczas już wywieziono zbóż tych za wiele, i że stoimy wobec nieuniknionej konieczności sprowadzenia ich do kraju w okresie przednówkowym po cenach znacznie wyższych, niż zostały uskutecznione jesienne tegoroczne tranzakcje wywozowe. Z powyższego wynika, iż ta pozycja wywozu w ostatnich miesiącach r. b. miała charakter niezupełnie normalny, i że jej wysokość stworzona została sztucznie przez wzmożony wywóz zboża ponad naszą przeciętną zdolność zbytu. Zatem salda dodatniego bilansu handlowego, osiągniętego przy pomocy tego wyniku, nie należy uważać za objaw pomyślny i różowo kształtujący przyszłość tego bilansu w najbliższych miesiącach.

Do podobnych wniosków dochodzimy, porównując cyfry wywozu węgla z lat 1925 i 1926:

w tonach	1926	1925
styczeń	668.900	833.358
luty	583.969	740.295
marzec	608.902	860.547
kwiecień	673.100	762.590
maj	704.393	818.919
czerwiec	1.395.034	640.784
lipiec	1.833.003	457.454
sierpień	2.177.910	529.326
wrzesień	1.818.097	573.069
październik	1.480.216	680.488

Dynamikę powyżej uwidoczniionych cyfr dostatecznie komentuje uwaga, że czerwiec r. 1925 był miesiącem, w którym Niemcy nie zgodziły się na przedłużenie umowy, wynikającej z tytułu art 224 konwencji genewskiej z r. 1922, dotyczącej bezcłowego wywozu do Niemiec 500.000 ton miesięcznie górnośląskiego węgla, maj zaś roku bieżącego, był miesiącem, w którym wybuchł strajk angielskich górników węglowych, trwający do pierwszych dni grudnia r. b. Według przybliżonych obliczeń na podstawie danych Gł. Urzęd. Stat. wartość wywożonego węgla wynosiła od czerwca włącznie, przeciętnie około 30 proc. wartości całego wywozu, w obliczeniu miesięcznem za czerwiec — listo-

pad r. b. Jeśli porównamy tę część pozycji wywozowej z wysokością przeciętną aktywnego salda miesięcznego za ten czasokres, to nie możemy nie dojść do wniosku, że konjunktura ta miała wpływ zasadniczy na aktywny charakter naszego bilansu handlowego w ostatnich miesiącach. Pomyślne te warunki dla zbytu naszego węgla w grudniu r. b. znacznie się skurczyły. Możemy bez przesady stwierdzić, że ta pozycja wywozu na następne miesiące ulegnie zmniejszeniu conajmniej o 60 proc. licząc zupełnie skromnie.

Wywóz nasz zatem posiada w najbliższych miesiącach wszelkie szanse skurczenia się znacznie poniżej poziomu z ostatnich miesięcy r. b. Zapowiada się natomiast trudne do uniknięcia zwiększenie pozycji przywozu zbóż i maki. Wszystko to każe przypuszczać, że o ile przywóz w drodze nadzwyczajnych restrykcji nie zostanie w początku przyszłego roku zmniejszony do granic stojących znacznie poniżej aktualnych, minimalnych potrzeb naszego rynku konsumcyjnego, równowaga bilansu handlowego w pierwszej połowie roku 1927 zostanie mocno zachwiana w kierunku ujemnym. Nie generalizując skutków stąd płynących w sensie ujemnym dla całokształtu gospodarki krajowej, jednak wysoce zależnej od stanu naszego handlu zagranicznego, musimy położyć nacisk na fakt nie ulegający wątpliwości, że dotychczasowa polityka gospodarcza rządu, utrzymująca równowagę bilansu handlowego przede wszystkim w drodze sztucznego kurczenia przywozu, a nie zdradzająca żadnych realnych posunięć w kierunku wzmożenia wywozu, mija się z właściwym celem polityki handlu zagranicznego, którego nie można identyfikować ze sztucznym zmniejszaniem obrotu ogólnego w tym handlu

Pola ekspansji eksportowej, jakie ukazywały się w perspektywie prac zaprojektowanego Instytutu Eksportowego w jesieni 1925 — leżą odłogiem, wywóz nasz po staremu jest słaby, nie zorganizowany i skazany na szkodliwe skutki dzikiej konkurencji pomiędzy poszczególnymi eksporterami. Czas byłby powrócić do zarzuconego projektu i stworzyć tego rodzaju instytut, który w warunkach zapowiadających się na najbliższe miesiące dla naszego bilansu handlowego mógłby być wielką pomocą.

TADEUSZ NOWACKI

W NASZYM PARLAMENCIE

MARSZAŁEK PIŁSUDSKI W SEJMIE.

NIC MOŻE jaskrawiej nie charakteryzuje naszych stosunków obecnych od faktu, że przybycie Prezesa Rady Ministrów i Ministra spraw wojskowych na posiedzenie komisji sejmowej stało się największą sensacją dnia. Zupełnie, jakbyśmy na wzór Stanów Zjednoczonych wprowadzili już u siebie ustrój prezydencki, zakazujący ministrom bywania w parlamencie.

Przyjazd marszałka Piłsudskiego na ulicę Wiejską zadziwił wszystkich zapewne dlatego, że wbrew zwyczajom, panującym na Zachodzie, szef rządu nie przedstawił się dotychczas peł-

nemu Sejmowi, ani nie zapoznał Przedstawicieli Narodu ze swoim programem. Pierwszą wizytę na Wiejskiej złożył komisji budżetowej nie jako premier, lecz jako minister spraw wojskowych.

Pobyt w Sejmie w tym wyłącznie charakterze uwydatnił Marszałek swą mową, utrzymaną ściśle w granicach resortowych. Z wyjątkową jasnością i rzeczowością przedstawił on te wady w organizacji armji, do których usunięcia niezbędny jest współudział ciał prawodawczych, więc miesięczne budżetowanie, tamujące rozwinięcie planu na dłuższą metę, przeciążenie wojska formali-

styką administracyjną, odrywającą oficerów i żołnierzy od ćwiczeń do kancelarii, brak dostatecznych dotacyj na tworzenie rezerwy zaopatrzenia, wreszcie sprawę skrócenia czasu służby wojskowej.

Mowa Prezesa Ministrów nacechowana była otwartością i szczerością, bez żadnych akcentów brutalnych. Doskonałe było, gdy przedstawiając szkodliwość dla wojska comiesięcznego wydzielania kredytów, przyznał, że kazał wydawać wszystko „choćby ze złości, żeby nie oddawać skarbowi z powrotem”. W tem jednym powiedzeniu uwydatniło się, że w rządzie obecnym minister spraw wojskowych bierze górę nad prezesem ministrów; nie tak, jak było w gabinetach poprzednich.

Nie brakowało też w przemówieniu marszałka Piłsudskiego godnych zapamiętania aforyzmów: „Pan dostatecznie działał przeciw wojsku — powiedział b. ministrowi Michalskiemu, gdy się ten sumitował — ja się temu przyglądałem”. Albo o swoim poprzedniku w M. S. Wojsk: „Biedny Żeligowski nie mógł sobie dać rady z sytuacją. Minister Żeligowski był tu, mówiąc po rosyjsku: „biez winy — winowat”. Pod adresem posłów wygłosił następującą uwagę: „Jestem zwolennikiem rzucenia człowieka na głęboką wodę, niech sobie radzi, a jak nie poradzi, to utonie. Panowie zaś właśnie Waszemi prawami nie dajecie mu utonąć, robicie sztuczne pęcherze i ja walczę z temi prawami, które nie dają utonąć wszelkim niedołęgom”. O sobie zaś powiedział: „Sam jestem złym pedagogiem i ile razy musiałem uczyć, tyle razy byłem wściekły i robiłem przykrości tym, których uczyłem”.

Raz tylko premier wyszedł poza zakres resortowy i dotknął ogólnej sytuacji państwa, kiedy uzasadniał konieczność utrzymania conajmniej dotychczasowej liczebności armji. „Polska — powiedział — przez nikogo nie jest zagwarantowana i w wielkiej części jest pozostawiona samej sobie”.

O tem zdaniu szefa rządu nie wolno zapominać ani na chwilę.

REFORMY SZKOLNE.

Gdy premier zjawił się w Sejmie w charakterze ministra spraw wojskowych, wicepremier wystąpił tam w roli kierownika ministerstwa wyznań i oświaty. Wyjaśnienia, jakich udzielił w komisjach, rzucają dostateczne światło na program rządu w dziedzinie szkolnictwa. Zanim omówi-

my te interesujące sprawy w specjalnych artykułach, chcemy dzisiaj choć w paru rzutach przedstawić poglądy i zamiary rządu.

Stoi on na stanowisku szkoły jednolitej, pozwalającej dziecku wspinać się od najniższego do najwyższego stopnia nauczania. Ale studja mają być tak ułożone, że co parę lat można będzie je kończyć i przechodzić do życia zarobkowego. Zmniejszy to nadmierną u nas ilość niedouczków i wykołajeńców, którzy zaczynają naukę i przerywają w najnieodpowiedniejszej chwili.

Podstawą, obowiązującą wszystkich, będzie szkoła powszechna, siedmioletnia, dająca minimum wiedzy, potrzebnej dla każdego obywatela. Po jej ukończeniu można będzie dostać się do szkoły średniej — zawodowej lub ogólno-kształcącej. Szkolnictwo zawodowe będzie rozwinięte, udoskonalone i zrównane hierarchicznie z gimnazjami, aby absolwenci szkół zawodowych mogli przechodzić do wyższych uczelni specjalnych. Dotyczyć to ma nie tylko szkół technicznych i handlowych, otwierających wstęp na politechniki i do akademji, ale także szkół rolniczych; uczeń niższej szkoły agronomicznej będzie mógł dostać się do takiejże szkoły średniej i uwieńczyć swe wykształcenie ukończeniem wydziału rolniczego w uczelni wyższej.

Wśród zakładów naukowych wyższych, do których obecnie zaliczają się nie tylko uniwersytety i politechniki, lecz także akademja sztuk pięknych, konserwatorium muzyczne, szkoła handlowa wyższa, akademja górnicza i t. d. — nastąpi pewne rozróżnienie uczelni o poziomie akademickim od uczelni specjalnego typu. Słowem klasyczny, przestarzały już dziś podział na trzy stopnie nauczania: elementarny, średni i wyższy — zniknie. Powstaną szczeble pośrednie, przystosowane do nowoczesnych warunków życia.

Nie osto się też obecny ustrój szkolnictwa wyższego, oparty o bezwzględną autonomję. Zachowa się ją tylko w dziedzinie naukowej, jako warunek wolności nauki i niezależnienia jej od administracji państwowej. Natomiast strona gospodarcza zakładów akademickich poddana będzie nadzorowi władz państwowych.

W ten sposób cały systemat szkolny będzie przebudowany i zmodernizowany stosownie do wymagań nowoczesnej pedagogiki i do potrzeb społeczeństwa. Szczegółowe plany są już w opracowaniu.

WIG.

URZĘDNICZE „PERPETUUM MOBILE”

WIADOMO, ŻE nigdzie na świecie zawód urzędniczy nie należy do dobrze płatnych.

W czasach przedwojennych były wszelako dwie okoliczności, które w znacznym stopniu kompensowały niedostateczność uposażenia urzędniczego. Jedną z nich było poszanowanie w społeczeństwie, wyższy stopień towarzyski, jaki urzędnik osiągał. Drugą była t. zw. pewność jutra, to znaczy pewność, że urzędnik nie straci

z dnia na dzień posady, lecz przeciwnie będzie siedział drobnymi krokami do emerytury.

Po wojnie — z przyczyn, których nie będziemy tu rozbierać — we wszystkich niemal krajach stosunek społeczeństwa do urzędników przybrał kształty niechęci, lekceważenia lub nawet wprost wrogości. Całe odium, wywołane przez błędy powojennej, na przerosł etatyzmu chorującej, polityki administracyjnej, przerzucono na jej

wykonawców i z urzędników uczyniono kozły ofiarne za nieudolność rządzących. Ponieważ zaś, jak wiadomo, urzędnik był też jedną z głównych ofiar wojennego przesilenia gospodarczego, przeto bilans jego położenia na początku trzeciego dziesiątka lat obecnego stulecia przedstawiał się w ten sposób, że urzędnik utracił dawne poszanowanie wśród ludzi, a dochody miał mniejsze jeszcze, niż dawniej,

Ale pozostawała owa „pewność jutra.“ Owszem, ale nie wszędzie. W Polsce np. ustawa o służbie cywilnej z r. 1922-go przezornie odroczyła na dwa lata t. zw. stabilizację urzędników. Było to zupełnie słuszne, bo budując pospiesznie i dorywczo administrację odrodzonego państwa, nabraliśmy do służby państwowej wielu pracowników, nie przyglądając im się dość z bliska. Trzeba więc było zastrzec państwu możliwość pozbycia się tych intruzów czy poprostu niedołęgów. Zdawało się, że dwa lata to termin dostateczny do rozejrzenia się w materjale, którym rozporządza nasza administracja. Ostatecznie zwierzchnicy biur są chyba po to, by wiedzieć, jaka jest wartość ich podwładnych. Nie żąda się zaś od nich nadmiernego wysiłku, gdy daje im się dwa lata na zorjentowanie się w tym względzie.

Tymczasem termin, zakreslony przez ustawę z r. 1922-go, przeszedł z dokładką, a w urzędach naszych wciąż nie decydowano się na stabilizację i raz po raz żądano i uzyskiwano od sejmu odroczenie terminu. W ten sposób urzędnik polski nietylko żył, jak głodomór, nietylko czuł koło siebie atmosferę antypatii, ale jeszcze denerwował się latami całąmi możliwością, że za kilka tygodni znajdzie się na bruku. Taka była nasza „polityka urzędnicza,“ takie było zachęcanie urzędników do pracy pełnej poświęcenia.

W drugiej połowie 1925-go r. rozpoczęły się ustalania urzędników, niebawem jednak przerwane. Ponadto zaś pozostawały w ustawie o służbie cywilnej pewne artykuły, otwierające furtkę, przez którą można było zawsze jeszcze — przy szczypcie dobrej woli — wypchnąć urzędnika nawet już stabilizowanego. Można mianowicie takiego urzędnika przenieść na sześć miesięcy w stan nieczynny (to znaczy płacić mu przez pół roku za darmo pensję) i następnie spensjonować go (to znaczy uczynić go przez resztę, często bardzo jeszcze młodego, życia utrzymaniem skarbu państwa). Rząd obecny, który przyszedł do władzy pod hasłem odchwaszczenia administracji, oczyszczenia jej od produktów i producentów

partyjnictwa oraz od notorycznych niedołęgów, opartych o wpływy polityczne — skwapliwie korzystał z możliwości, pozostawionej przez elastyczne postanowienia ustawy o służbie cywilnej i usunął szereg osobistości, które różne stronnictwa ogrzewały ciepłem serdecznej życzliwości i wyprotęgowały na ważne stanowiska.

Ubodło to, oczywiście owe stronnictwa i skłoniło do zgłoszenia wniosku w sejmie o zmianę ustawy o służbie cywilnej w tym sensie, by urzędnicy nie mogli być usuwani całkowicie ze służby, lecz tylko mogli być przenoszeni na inne stanowiska w tym samym stopniu służbowym. Rząd opierał się, widząc w tem naganę swego postępowania. Rzecz przyszła przed kilku dniami pod obrady komisji administracyjnej sejmu. I tu nastąpiła przemiła scena. Jeden z posłów, ze stronnictwa „Piasta,“ oświadczył się mianowicie przeciw wnioskowi, ale nie dlatego bynajmniej, iżby nie chciał popierać opozycji przeciw rządowi, lecz dlatego, jak wyraźnie powiedział, że uchwalenie podobnego wniosku *uniemożliwiłoby dzisiejszej opozycji*, w razie gdyby przyszła do władzy, *wyrzucenie wszystkich urzędników, przyjętych przez rząd obecny...*

Jest anegdota o dwóch woźnicach, którzy mijali się na szosie, każdy wioząc pasażera wyznania mojżeszowego. Jeden z woźniców śmignął, z ochoty, batem pasażera swego kolegi. Na to tamten bez namysłu odwzajemił się takim samym giestem wobec drugiego przejeżdżnego, ujmując zarazem swe stanowisko w krótką formułkę: „bijesz ty mego żyda — biję ja twojego.“ Czy jest właściwe kształtowanie pod tym kątem widzenia naszej polityki urzędniczej?

Jest zrozumiałe, że w warunkach naszych, kiedy na urzędach operujemy bardzo jeszcze niedoskonałym materjałem i kiedy formy naszej administracji nie są jeszcze dostatecznie ustalone, trzeba zostawić rządowi pewną swobodę w zmienianiu funkcjonariuszów. Ale wolno wątpić, iżby był pożyteczny stan, w którym rządy mogą bezceremonjalnie pozbywać się jednych urzędników, a nabierać drugich; stan, w którym każdy rząd może — zgodnie z postulatami posła Piastowego — mieć za punkt honoru wyrzucanie urzędników, przyjętych przez poprzedni rząd. Byłoby to swoiste rozwiązanie zagadnienia „perpetuum mobile.“ Wylewałoby się urzędników i przyjmowało, wylewało i przyjmowało. A przyszły Kemmerer miałby gotowy temat do pouczeń, za które zapłaciłibyśmy dolarami.

JAN BAKOŃ

DOKOŁA SPUŚCIZNY IDEOWEJ ŻEROMSKIEGO

ZBYT śmiałym i niewykonalnym byłby zamiar, aby w artykule przygodnym pokusić się o omówienie całej spuścizny ideowej Żeromskiego. Chciałbym tylko przedstawić losy różnych konkretnych inicjatyw, które Żeromski podał w swych prozach publicystycznych, tak licznych w ostatnich latach jego życia. Niejedne z jego projektów były istotnie wyrazami potrzeby chwili i mimowiednie zgadzały

się z rozpoczętymi już pracami w danym kierunku.

O zbieżności takiej możnaby mówić częściowo już przy sposobności jednej z pierwszych jego broszur, poświęconej organizacji inteligencji zawodowej. Broszura ta, przejęta tą samą ideą syndykalizmu, która była natchnieniem „Początku świata pracy“, wskazywała inteligencji zawodowej konieczność pozapartyjnej

organizacji, któraby z jednej strony pracowała wspólnie z proletariatem, zorganizowanym w związki zawodowe i stanowiła ich mózg, a z drugiej — broniła materialnych interesów pracowników umysłowych; już bowiem sam Żeromski podkreślał tu obniżenie wartości pracy umysłowej. — W chwili, gdy Żeromski to pisał, w Warszawie istniała już pierwsza próba takiej organizacji pod nazwą „Rada Inteligencji Pracującej“, która jednak z powodu swojego charakteru politycznego nie mogła ugruntować się, podobnie jak i zrodzony z niej „Związek Inteligencji Pracującej“, pozostający już w pewnym kontakcie z pokrewnymi zrzeszeniami po miastach innych. Pod koniec 1924 r. przyjęto inną zasadę organizacyjną: mianowicie skupienie istniejących już — organizacji zawodowych na gruncie apolitycznym, za wzorem francuskiej „Confédération des Travailleurs Intellectuels.“ Za jej też wzorem przyjęto nazwę „Polskiej Konfederacji Pracowników Umysłowych“ i przystąpiono do konfederacji międzynarodowej.

Pierwszy (i zarazem ostatni) „Biuletyn P. K. P. U.“ z kwietnia 1925 rozpoczynał się przedmową Stefana Żeromskiego o znaczeniu geniuszu jednostek dla dobra ludzkości i o doniosłości organizacji inteligencji, w której rozwój niezachwianie wierzył, „gdyż cały naród musi się wciągać w te objęcia.“ Organizacja zaliczyła Żeromskiego w poczet swoich „przywódców duchowych“, choć oczywiście nie można stwierdzić bliższego związku między nią a pierwotną ideą Żeromskiego.

Mimo niezaprzeczanej dobrej woli zarządu, Konfederacja nie zdobyła jeszcze należytej pozycji, zapewne wskutek niedostatecznej propagandy, a co zatem idzie i zbyt małego zainteresowania zrzeszonych w niej związków. W każdym razie powołanie jej przedstawiciela do Komisji Pracy jest już dużym sukcesem, a zgromadzenie, odbyte właśnie dn. 19 b. m., zajęło się ożywieniem jej działalności.

Większe postępy wykazuje regionalizm, któremu Żeromski również torował drogę jednocześnie, gdy już inicjatorzy tego ruchu przystępowali do publicznej działalności. — W książce „Snobizm i postęp“ wskazywał jako źródło postępu nowej literatury „wpatrzenie się z pasją i wzruszeniem w dzieje i życie wyjarzmionej ziemi, w życie ludu, w jego obyczaj tak wieloraki na tym szerokim zagonie“, szkicował program zbiorowych a wszechstronnych badań nad poszczególnymi ziemiami. Był to regionalizm „avant la lettre.“ Równocześnie hasło regionalizmu wchodziło już w życie w Sandomierszczyźnie, gdzie w drugiej połowie 1922 r. urządzono pierwszy wakacyjny kurs regionalny dla nauczycielstwa szkół powszechnych i założono pierwszy Powszechny Uniwersytet Regionalny im. St. Konarskiego. Po wyjściu książki Żeromskiego, organizatorzy tamtejsi zwrócili się do niego jako do swego duchowego kierownika; Żeromski przywitał z radością „wieść o istnieniu zespołu ludzi i zakresie ich prac, o czym zawsze marzył.“ (fragmenty listu, ogłoszone we wspomnieniu pośmiertnym w „Głosie Nauczycielskim.“) Odtąd pracami organizacyjnymi interesował się

stale, a jak myśl jego koło tych zagadnień krążyła, świadczy „Przepióreczka“, osnuta na tle wakacyjnych kursów regionalnych, i nazwana trafnie „rodzajem poetyckiego błogosławieństwa“ dla pracowników tej idei.

Regionalizm polski, poczytywany przez niektórych za niepotrzebne naśladowanie wzorów obcych, francuskich, ma jednak głębokie uzasadnienie i wdzięczne pole pracy wobec wyjąłowania życia prowincji, czego powodem przesadny centralizm. Dążeniem jego jest ożywienie poszczególnych części kraju, stanowiących pewne wyraźne indywidualności terytorjalne (regiony), ożywienie pod względem gospodarczym, społecznym i kulturalnym. Środkiem przedewszystkiem przygotowanie pracowników — budzicieli z kadr nauczycielskich.

Działacze regionalni skupieni są w Sekcji Powszechnych Uniwersytetów Regionalnych Związku Pol. Naucz. Szkół Powszechnych, która kieruje dwoma Uniwersytetami Regionalnymi: im. St. Konarskiego w Sandomierzu oraz im. St. Witkiewicza w Zakopanem (od 1925); w fazie organizacyjnej znajdują się podobne ośrodki w Sądeckim, na Śląsku, Podlasiu, Wileńszczyźnie, w Sieradzkolęczyckim i w Rzeszowie.

Regionaliści polscy z pełną słuszością poczytują Stefana Żeromskiego za swego ideowego patrona, czego świadectwem jest nadanie jego imienia przyszłemu kolegium badań regionalnych, które powstanie wkrótce w Zakopanem. Idee Żeromskiego przyświecają przedewszystkiem działaczom sandomiersko-kieleckim, którzy dążą m. i. do wybudowania gmachu dla Muzeum Pol. Tow. Krajoznawczego w Kielcach; miałoby ono nosić miano Muzeum Świętokrzyskiego im. Stefana Żeromskiego, co jednak nie jest jeszcze zdecydowane.

Jeszcze jedna akcja związana jest ściśle z Żeromskim: ochrona Puszczy Jodłowej (w Górach Świętokrzyskich) Rezerwat, wyznaczony tam w 1922 przez delegatów Państwowej Komisji Ochrony Przyrody, okazał się zbyt szczupły i eksploatacja leśna terenów sąsiednich ustaliła ten rezerwat właściwie złudnym. Żeromski, który w ostatnim swym utworze wyśpiewał hymn na cześć swej rodzinnej „Puszczy Jodłowej“, zakończył go gorącym protestem przeciw jej niszczeniu: „do tych przyszłych barbarzyńców, poprzez wszystkie czasy wołam z krzykiem: — nie pozwalam... Puszcza jest niczyją, nie moja, ani twoja, ani nasza, jeno boża, święta!“ Toteż wkrótce po śmierci Żeromskiego wskazano (Januariusz Kołodziejczyk) potrzebę wypełnienia jego testamentu i zaproponowano nazwanie puszczy jodłowej „parkiem narodowym imienia Stefana Żeromskiego.“ Z inicjatywy Sekcji Powsz. Un. Reg. powstał w b. r. Komitet Obrony Puszczy Jodłowej, który w rocznicę śmierci Żeromskiego ogłosił w tej sprawie odezwę, z podpisami dwudziestu przeszło organizacji literackich, kulturalnych i gospodarczych. Los puszczy jodłowej jest w ręku komisji Ochrony Przyrody i Ministerstwa Rolnictwa.

Podczas, gdy myśl zorganizowania badań regionalnych znalazła już wykonawców, co prawda borykających się z apatią biernej masy spo-

łecznej, inicjatywy Żeromskiego, zwrócone do najbliższych mu po piórze, do literatów, nie wydały jeszcze spodziewanego plonu. Mówię przede wszystkim o projekcie Akademii Literatury Polskiej, przedstawionym w 1918, a ponownie w 1924. Zastrzegając się odrazu, że tytuł to może zbyt „bombastyczny”, Żeromski udowodnił konieczność stworzenia centralnej instytucji literackiej, któraby opiekowała się językiem polskim (oczyszczenie jego i wzbogacenie przez wybór słów gwarowych), sprawą rozszerzenia kultury literackiej wśród szerszych warstw, systematycznym tworzeniem biblioteki przekładów arcydzieł, oraz sprawami zawodowymi. W drugim swoim wystąpieniu mógł już wskazać smutne następstwa zaniedbania tej sprawy, oskarżając samych literatów, że „wołą pracować w odosobnieniu, albo wiecować w kawiarni”.

Pewnym surogatem, a w dalszej przyszłości zapoczątkowaniem „Akademii” miał stać się zorganizowany przezeń pod koniec roku 1924 Polski Klub Literacki. Związany z międzynarodową organizacją literacką „P. E. N. Club” w Londynie, i przeznaczony przede wszystkim do celów reprezentacyjnych, miał on w intencji Żeromskiego objąć już pewne funkcje przyszłej Akademii, np. archiwum rękopisów wybitnych pisarzy, które obecnie giną po redakcjach i drukarniach.

Polski Klub Literacki uznał za najpilniejsze zadanie propagandę literatury polskiej zagranicą, do czego wstępem miało być przygotowanie kanonu arcydzieł, najwięcej zasługujących na tłumaczenie. Niestety z zachorowaniem, a potem ze śmiercią Żeromskiego zabrakło mu jakgdyby ducha, potem utrata lokalu w Zamku Królewskim w połowie b. r. na dłuższy czas unicestwiła jego działalność. Jak ostatnio doniosły dzienniki, nowy zarząd postanowił zająć się energicznie sprawą przekładów. Przypomnieć jeszcze należy wydanie korespondencji polskiej Conrada-Korzeniowskiego, co dawniej projektowano.

Co do Akademii Literackiej, wszyscy niewątpliwie odczuwają potrzebę stworzenia takiej instytucji, tylko niewiadomo nikomu, w jaki sposób położyć jej podwaliny. Wobec rozbicia naszego świata literackiego na parę organizacji, pozostających względem siebie w stosunkach poprawnej, ale niezbyt ciepłej neutralności, jakieś „fakty dokonane” ze strony jednej z tych organizacji trudnoby zyskały aprobatę innych. Przykładem najświeższym — stworzenie tzw. Straży Literatury Polskiej, złożonej z członków honorowych Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy, a mającej zapewne — w intencji Towarzystwa — stanowić zaczątek przyszłej Akademii, co już wywołało pewne uwagi krytyczne. Niezależnie od tego, zakres działania Straży nie został w komunikacie do prasy dostatecznie wyjaśniony.

Sprawa ta więc ugrzęzła. Ze ślepej uliczki wyprowadzićby ją mogło jakieś wspólne zebranie przedstawicieli organizacji literackich, może i naukowych. Lecz kto je zwoła? — Państwo uważa, że ma „gorsze zmartwienia” niż los literatury, która jednak domaga się jakiegś odpowiedzialnej opieki. Departament Sztuki i Kultury, posiadający tytuł zaprzysiężonych wrogów, miałby tu

doskonałą sposobność, aby przez danie inicjatywy — bo tej tylko trzeba — udowodnić konieczność swego istnienia.

Tak więc parę organizacji, odpowiadających doniosłym potrzebom społecznym i kulturalnym, szczyści się mniejszem lub większem pokrewieństwem z ideami Żeromskiego. Do tego dodać należy jeszcze poszczególne instytucje, zawdzięczające jemu istnienie, jak: „Ochrona dla dzieci nałęczowskich imienia ś. p. Adama Żeromskiego”, t.j. dawne, jeszcze w latach pobytu Żeromskiego w Nałęczowie jego przeważnie kosztem wybudowane przedszkole, po odzyskaniu niepodległości ofiarowane państwu dla utrwalenia pamięci jego syna; dalej instytucja dla niewidomych inwalidów „Latarnia” (na Pradze), której Żeromski był wymownym opiekunem i która jego imieniem nazywała świetlicę w nowym gmachu. Zapewne znalazłyby się jeszcze inne pomniki jego miłości człowieka.

Gdy rozmyśla się nad tą ruchliwością i dobroczynnością Żeromskiego, odczuwa się jako nakaz godne uczczenie jego pamięci. Dnia 2 grudnia odbyło się w Towarzystwie Literatów i Dziennikarzy zebranie, na którem omawiano sprawę pomnika w stolicy. Myśl pomnika powstała już w dniach żałoby po śmierci Żeromskiego. Pierwszy, redaktor „Dnia Polskiego”, p. Dziaczkowski podał projekt wzniesienia pomnika w najdroższym dla Żeromskiego zakątku Polski, u stóp Łysicy, we wsi św. Katarzyna. Dały się wtedy słyszeć głosy ostrzegawcze przed zbyt pośpiechem w decyzji, którejby społeczeństwo mogło nie dotrzymać. P. Czempiński w „Kurjerze Warszawskim” wskazał jako sposób uczczenia bardziej realny i zespolony z ideami zmarłego, stworzenie osiedla dla bezdomnych jego imienia. — W „Robotniku” — o ile się nie mylę — wskazano jako najodpowiedniejsze miejsce pod pomnik stoki Cytadeli, ziemię przesiąkniętą „różą” krwi skażonych. W rocznicę śmierci grono literatów ogłosiło w prasie apel do narodu w sprawie pomnika. Na zebraniu grudniowym podano parę różnych propozycji co do miejsca ewentualnego pomnika, które mają być kolejno rozważone.

Z licznych projektów uczczenia pamięci Żeromskiego, ogłoszonych tuż po jego śmierci, niestety żaden jeszcze nie wszedł w życie, choć niejeden godny jest zrealizowania i nie nastęcza trudności, np. projekt p. M. L. Przyjemskiego w „Gazecie Warszawskiej”, aby w Zamku Królewskim zachować komnatę Żeromskiego.

W „Wiadomościach literackich” p. G. Karski zaproponował niedawno założenie „Towarzystwa Przyjaciół Żeromskiego”. Potrzeba skupienia tych przyjaciół jest niewątpliwa, choć tworzenie nowego towarzystwa, nieopartego o żadną większą organizację, nie zdaje się być rzeczą trwałą. Pozwalam sobie zaproponować raczej skupienie tych przyjaciół w sekcji autonomicznej Polskiego Klubu Literackiego, dostępnej także dla osób, niebędących jego członkami. W ten sposób Klub Literacki zyskałby nowe pole działania, a przez zjednoczenie licznych przyjaciół Żeromskiego, spłaciłby dług wdzięczności wobec swego niezapomnianego założyciela.

L. PŁOSZEWSKI

Z A P I S K I

DOKONANY W KOWNIE ZAMACH STANU zdaje się być nowym przejawem epidemii fałszyżmu, szerzącej się w powojennej Europie. Zanim omówimy jego znaczenie polityczne i poznamy niedość sprecyzowane jeszcze przyczyny i cele, poprzestajemy narazie na scharakteryzowaniu samego przebiegu wypadków. Zamach odbył się według znanego już szablonu. Pod hasłem ratowania państwa od gnuśności rządu i niebezpieczeństwa komunistycznego, pewien ambitny oficer zbuntował część załogi kowieńskiej i opanował stolicę. Ministrów aresztowano; prezydenta republiki zrazu internowano, następnie zmuszono do rezygnacji. Następnie cały ruch postanowiono zlegalizować. Zwołano więc parlament i dokonano wyboru nowego prezydenta. Rewolucyjny rząd poprzysiągł na Konstytucję i wszystko potoczyłoby się dawnym szlakiem, gdyby nie pewne niedokładności wykonawcze. Paru ministrów obalonego rządu zdołało zbiedz na zachód — do Marjampola i tam skupili wokół siebie wierne oddziały wojska. Według ostatnich wiadomości, maszerują one na Kowno. Rozlew krwi, którego uniknięto podczas samego zamachu, może nastąpić teraz i przybrać rozmiary wojny domowej. Obie strony są zaciętrzewione i różnią się zasadniczo w poglądach na politykę wewnętrzną i zagraniczną. Zamachowcy reprezentują prawięc nacjonalistyczną, opierającą się o Niemcy; rząd obalony składał się z żywiołów ludowych i socjalistycznych, sympatyzujących z Rosją. Obydwa obozy zgodne są w jednym — w nienawiści do Polski. Dlatego zapewne Sowiety z jednej strony, a Berlin z drugiej właśnie Polskę oskarżają o wywołanie zamieszek. Kto wie, czy Smetona i Waldemaras nie są agentami Warszawy? I to od czasów Taryby!

NOWELA DO USTAWY O OCHRONIE LOKATORÓW z dnia 27 marca 1926 r. (Dz. U. Rz. P. Nr. 30. poz. 185.) wstrzymała wzrost 6⁰/₀-owej stawki komornego mieszkań jednopokojowych na czas od dnia 1 kwietnia 1926 do dnia 31 grudnia 1926, wobec czego już z dniem 1 stycznia 1927 także i przy tych mieszkaniach nastąpi wzrost dotychczas opłacanego komornego o 6⁰/₀ komornego przedwojennego, a w dalszym ciągu co kwartał nastąpi wyższość o dalsze 6⁰/₀.

Te momenty gospodarczej i społecznej natury, które na wiosnę bieżącego roku spowodowały wydanie wspomnianej noweli, bynajmniej w niczem się nie zmieniły, lecz owszem raczej spotęgowały; bilans handlowy pogarsza się, kulminacyjny punkt konjunktury, osiągnięty mniej więcej w połowie bieżącego roku, dawno minął, — a drożyzna naogół wzrasta. W tym stanie rzeczy byłoby absurdem gospodarczym w obecnej chwili dopuścić do dalszego automatycznego wzrostu komornego, zahamowanego ostatnią nowelą.

Ale nie chodzi tylko o utrzymanie dotychczas istniejącego stanu rzeczy, lecz należy pójść poza ramy ostatniej noweli, i objąć ulgami komornianemi mieszkania stanu średniego, a w szczególności pracującej inteligencji.

W czasie wiosennej dyskusji nad nowelizacją ustawy lokatorskiej postawiony był wniosek, ażeby

wstrzymać wzrost mechaniczny komornego w stosunku do mieszkań trzypokojowych włącznie, przyczem nie wchodziłyby w rachubę pomieszczenia, służące wyłącznie celom wykonywania wolnego zawodu (gabinet lekarski, kancelaria adwokacka, biuro inżyniera i t. p.). Większość sejmowa wniosek ten odrzuciła. Spodziewać się należy, że obecny rząd w drodze dekretu wnioski te uwzględni, jako konieczność gospodarczą i społeczną w interesie stanu średniego i pracującej inteligencji.

POSTULAT DRUGI ODNOSI SIĘ DO SPRAWY eksmisji. Ostatnia nowela wprowadziła moratorium sędziowskie w sprawach zaległości komornego, ale przyznała je jedynie takim lokatorom, których dochód z pracy nie przekracza 80 zł. u lokatora samotnego, a 120 u lokatora utrzymującego rodzinę. Postanowienie to jest nawskroś wadliwe. Nie obejmuje ono bowiem n. p. emerytów, ponadto nie uwzględnia zachodzącej in concreto niemożności zapłacenia komornego w terminie; n. p. urzędnik państwowy, który ma 150 zł. miesięcznej pensji w wypadku długotrwałej choroby członka rodziny miałby bezwzględne prawo do żądania rozłożenia zaległego komornego na raty, ale sędzia przy sprzeciwie właściciela tego uczynić nie może i wbrew swojemu sumieniu orzec musi eksmisję, ponieważ nowela mówi jedynie o poborach w wysokości 120 zł. By zapobiedz tej niesprawiedliwości, należałoby sprawę postawić na platformie dawnego wniosku posła Sommersteina, który przyznaje sędziemu prawo indywidualizowania każdego wypadku i ewentualnego rozłożenia komornego na raty oraz odmówienia eksmisji, jeżeli niezależne od lokatora położenie gospodarcze uniemożliwia mu płacenie komornego w terminie.

WLECIE R. B. NATRAFIONO W MIEJSCOWOŚCI Niezwiska w Ziemi Czerwińskiej na wyjątkowo cenne wykopaliska przedhistoryczne. Zajął się nimi prof. L. Kozłowski ze Lwowa i dla racjonalnego przeprowadzenia robót zwrócił się do p. Jakimowicza, szefa konserwatorów państwowych w ministerstwie oświaty, o wyasygnowanie potrzebnych funduszy. P. Jakimowicz podanie odrzucił. Wówczas prof. Kozłowski odniósł się z rekuresem do jego zwierzchnika, dyrektora departamentu nauki, p. Michalskiego, prosząc o ewentualną zgodę na wejście w porozumienie z finansistami angielskimi, którzyby wzamian za dostarczenie potrzebnych środków otrzymali część wykopalisk. P. Michalski zgodził się na tę kombinację, ale nie zawiadomił o niej kompetentnego wydziału p. Jakimowicza. To też, gdy dzięki finansowej pomocy Anglików prace wykopaliskowe ukończono i część przypadającą im zbiorów wysłano do Londynu drogą morską, p. Jakimowicz zaaresztował je w Gdańsku, powołując się na obowiązujące przepisy. Anglicy przypomnieli warunki umowy, zatwierdzonej przez p. Michalskiego. Wynikł skandal. Okazało się, że panowie Michalski i Jakimowicz działali bez porozumienia, każdy na własną rękę i każdy w imieniu rządu polskiego. Jakie zdanie wyrobili sobie Anglicy o naszej administracji i naszej solidności w interesach — nie potrzebujemy dodawać.

W DNIU 12-M.B.M. ZMARŁ PO KRÓTKIEJ chorobie w Paryżu słynny poeta i dramopisarz francuski Jean Richepin. Życie jego było pełne przygód, a burzliwy temperament poety wyładował się w całym szeregu płomiennych, rewolucyjnych utworów. Richepin urodził się w r. 1849 w Algierze. Pokochał tam wschodnie otoczenie i częstokroć lubił mówić o sobie, że należy raczej do rasy turańskiej, niż romańskiej. Wyższe studia odbywał w paryskiej Ecole Normale Supérieure. Porzucił jednak szkołę aby prowadzić życie, jak mówił, więcej odpowiadające jego turańskiemu pochodzeniu. Przez jakiś czas odbywał jako prosty marynarz długie podróże na statkach handlowych, potem pracował w dokach Bordeaux również w charakterze zwykłego robotnika. W r. 1876 ukazał się pierwszy tom poezji Richepina, który od razu zdobył mu rozgłos. Były to poezje zuchwałe, a poemat „Chanson des Gueux” stanowił szczyt śmiałości w owych czasach. Nic dziwnego też, że zyskał mu od razu sławę i ogromną poczytność, ale jednocześnie zwrócił nań baczną uwagę władz i w wyniku autor powędrował na cały miesiąc do więzienia. Wślad za pierwszym tomem poszły inne. Z tych należy przedewszystkiem wymienić „Les Blasphèmes,” który autor nazwał bibliją współczesną. Ale polotem i śmiałością nie dorównywały już one pierwszemu. Niebawem na scenie Comedie Française poczęły się ukazywać jego dramaty. Niektóre z nich utrzymały się po dziś dzień, ale był czas kiedy utwory Richepina wprost nie schodziły z repertuaru. Wreście w jednym ze swych dramatów p. t. „Nana Sahib,” wystąpił Richepin jako aktor, grając wraz z Sarą Bernhardt. Była to sensacja nielada i Richepin zyskał nową sławę. Nie mniejszem powodzeniem cieszyły się jego powieści i nowele, Richepin był nie tylko utalentowanym, ale i niezmiernie pracowitym pisarzem. „Morts Bizarres,” „La fille à l'Ourse,” „Madame André” i inne odznaczały się wybitną oryginalnością tematu i zgoła nowem na owe czasy ujęciem. Rok 1900 był kresem twórczości Richepina. Słynny autor porzucił pióro, będąc u zenitu powodzenia i od tego czasu występował już tylko w charakterze konferencjer na zebraniach literackich, a jednocześnie zyskał sobie sławę, jako dużej miary mowca. W tym czasie też mniej więcej, wstąpił w związki małżeńskie i stał się przykładnym ojcem rodziny, jednakże do końca życia cechował go burzliwy temperament i niepołamowana niczem żądza przygód.

POLITYKĘ ZAGRANICZNĄ MUSSOLINIEGO — i historyczne poszukiwanie kolonialnego mandatu środkowo-afrykańskiego i z trudem hamowane

zapędy ku Abisynji i troskę o obywatelstwo Włochów w Tunisie i traktaty z Albanją i wiele, wiele innych pociągnięć na szachownicy politycznej — objaśniają cyfry, odnoszące się do stanu ludnościowego Włoch, a ogłoszone ostatnio przez włoski komisariat emigracji. W dniu 31-go grudnia 1921-go roku Włochy liczyły ludności nie więcej, niż 38,789,827, w dniu 1924-go r. już 40,130,724 głów, a z końcem b. r. liczba ta wzrosła wedle obliczeń prowizorycznych do wysokości 41 milionów; roczny przyrost ludności włoskiej wynosi więc około 400,000 ludzi, dla których trzeba znaleźć utrzymanie...

KTOŚ POWIEDZIAŁ, ŻE PRZECIĘTNY DZIEŃ — nik londyński składa się w $\frac{1}{3}$ z wiadomości sportowych, $\frac{1}{3}$ z anonsów, a w $\frac{1}{3}$ ze sprawozdań z procesów rozwodowych. Sprawozdania te, pod pozorem ścisłości informacyjnej, podawały dużo drastycznych szczegółów, znajdowały przeto wielu czytelników. Wszakże nawet w purytańskiej Anglii ludzie lubią dowiadywać się o skandalikach w prywatnym życiu bliźniego... Oddawna jednak prowadzono kampanję przeciw zbyt „wiernym” sprawozdaniom z procesów rozwodowych. Wreszcie w dniu 11-go grudnia parlament angielski, uchwalając ustawę o procesach sądowych, zamputował prasę angielską o ową jedną trzecią część wszystkich Expressów, Mailów, Chronicleów i Standardów. Dyskusja parlamentarna obfitowała w akcenty zdrowego a suchego humoru anglo-saskiego. I tak kpt. W. Benn z całą powagą zwrócił się do „czcigodnych członków” z zapytaniem, „czy pod przepisy karne ustawy podpadać będą również sprawozdania z tak ciekawego i tak doniosłego dla Anglii procesu rozwodowego Henryka VIII-go,” a labourysta mr. Thurtle dał wyraz trosce, „czy nie ucierpi na tem poważnie współczesna cywilizacja, jeżeli egzemplarze gazet z światoburczemi artykułami Mr. Lloyd George’a ulegną konfiskacie tylko dlatego, że pod niemi gdzieś w kącie umieszczono maczką jakoweś mniej dyskretne detale z zakresu alkiwy małżeńskiej...” Ale sprawozdania rozwodowe znalazły też obrońcę zupełnie nie na żarty. Sir E. Hume Williams (konserwatysta) wypowiedział mianowicie zdanie, że jawność rozpraw sądowych w tej materji jest znakomitym środkiem odstraszenia zbyt lekkomyślnych dezertów ze stanu małżeńskiego i oddziaływa bardzo korzystnie na wzmocnienie tak osłabionych po wojnie więzów matrymonjalnych. Zwyciężyła jednak opinja przeciwna. Sprawozdania rozwodowe z sali sądowej ograniczono do minimum i zagrożono poważnymi karami winnym wydawcom, redaktorom i reporterom.

TREŚĆ ZESZYTU

Konieczność wyraźnego programu — Antoni Ponikowski	Str.	Bilans handlowy w roku 1926 — Tadeusz Nowacki	9
Szachownica partyjna — W. Giełżyński	2	W naszym parlamencie — Wig.	10
Kto nas będzie bronił? — Miecz. Szerer	3	Urzędnicze „Perpetuum mobile” — Jan Bakoń	11
Dymy po sesji genewskiej — Zygmunt Klimowczak	5	Dokoła spuścizny ideowej Żeromskiego	
Sprawozdanie prof. Kemmerera — H. Gr.	7	L. Płoszewski	12
	8	Zapiski	15

WARUNKI PRENUMERATY:

Kwartalnie: 5 zł., miesięcznie: 2 zł. — z przesyłką. Cena zeszytu: 50 gr. Zagranicą kwartalnie 1 dolar.

CENA OGŁOSZEŃ: Strona za tekstem zł. 200.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

Warszawa, Plac Napoleona i m. 14. Telefon 412-44. Konto w P. K. O. Nr. 12912.

REDAKTOR: WITOLD GIEŁŻYŃSKI

ZA WYDAWCÓW: WITOLD GIEŁŻYŃSKI

Zakłady Graficzne B. Pardecki i S-ka z o. o. Warszawa, Pańska 4. Tel. 322-00.